

Prosta sprawa, ludzie, którzy myślą podobnie jak ja, są z natury rzeczy bardziej inteligentni od tych, którzy myślą inaczej. Dostawca mojego dziadka patrzył na tę kwestię od strony moralnej, czasem rekomendował kogoś mówiąc: „Panie Jasiński, ten Kowalski to porządny człowiek, on mnie bardzo szanuje”. Walcząc z przeciwnikiem politycznym nie szukamy jego najinteligentniejszych argumentów, polujemy na idiotyzmy i w końcu nawet logiczny argument obrócimy w głupstwo. Przeciwnik staje się w ten sposób zwartą masą głuptaków powodowanych przez łajdaków. My jesteśmy racjonalni i oświeceni, po drugiej stronie jest populizm i debilizm.



Ludwik Dorn (Wykształciuch czasem zmienia habitat, rzadko zmienia skórę.)

Czytałem bardzo ciekawy artykuł Elżbiety Misiak-Bremer „[Mówić by być słyszany](#)”. Zaczyna się od zabawnej informacji o tym, jak to dziennikarze wybrali się w pisowską wieś, aby dowiedzieć się pod kościołem i pod sklepem, co wieś myśli. (Rzecz zabawna dla mnie, bo posiadając warsztat socjologa, po dwudziestu latach mieszkania w małym miasteczku, nie umiałbym powiedzieć co miasteczko myśli, chociaż znam połowę jego mieszkańców i jestem tu w pełni akceptowany.) Jak można było przypuszczać, dziennikarze dowiedzieli się, że wieś kocha PiS,

bo PiS ją kocha, daje pieniądze, mówi zrozumiale i niczego od wsi nie chce.

Autorka pisze, że po naszej stronie zabrakło prostego języka, co natychmiast przypomniało mi opowieść Józefa Kuśmierka o wizycie na wsi jednego z warszawskich opozycjonistów przed wyborami w czerwcu 1989r. gość mówił długo i zawile, aż w końcu ktoś się zgniewał i powiedział, panie, nie gadaj pan tyle, będziemy głosowali nawet na krowę, byle miała znaczek „Solidarności”.

Kuśmierk, nazywany latającym reporterem, który więcej czasu spędzał jeżdżąc po Polsce niż w domu, opowiadał mi tę historię we wrześniu po tych wyborach. Znał tę Polskę lepiej niż ktokolwiek inny i był pełen najgorszych przeczuć. Mówił, że wieś jest kompletnie niezorganizowana, rolnicze organizacje w rozsypce i sfrustrowane po części z powodu inteligenckiej pogardy. W czasie stanu wojennego PZPR ochoczo dawała zezwolenia na budowę kościołów, więc na wsiach zamiast komitetów rodzicielskich, zamiast ruchu spółdzielczego i samorządowego, jak grzyby po deszczu powstawały komitety budowy kościołów, te komitety doskonale blokowały parcie do samorządności na wsi, a potem niesłychanie ułatwiały dominowanie wiejskiego samorządu przez rady parafialne.

Józef Ślisz zaprosił mnie wtedy do Sejmu, mówił, że sytuacja jest trudna, bo i konflikty w organizacjach rolniczych i niechęć do dyskusowania o problemach wsi w „Solidarności” i (jak to wykrętnie określił) ze strony innych. Zaprosił mnie do Wierzchosławic na zjazd Solidarności Rolników Indywidualnych (nadal wrzesień 1989), gdzie trudno było oprzeć się wrażeniu, że jest więcej księży niż ludowców oraz, że jestem tam jedynym inteligentem. Spotkanie, na którym dyskutowano o przyszłości ruchu ludowego w wolnej Polsce nie wzbudziło zainteresowania dziennikarzy, ani tym bardziej innych polityków z Komitetu

Obywatelskiego Lecha Wałęsy, który wystawił Ślisza jako kandydata do Senatu. Zobaczyłem, co chciałem zobaczyć i dyplomatycznie wykręciłem się z bankietu dla wybranych gości, z których grubo ponad połowa była w sutannach. I bez tej wizyty wiedziałem, że Kuśmierk wie co mówi, z tego prostego powodu, że on nie szukał wiedzy o Polsce pod wiejskim kościołem i pod wiejskim sklepem.

Pisze Elżbieta Misiak-Bremer o zderzeniu dwóch światów, dwóch języków, że wieś nie wiedziała co to wolny rynek, trójpodział władzy, po co Trybunał Konstytucyjny, tak w ogóle nie wiedziała czego nie wie.

Pisze Autorka, że:

*„Wykształceni nie potrafili tłumaczyć, nie chciały przyjąć, że ich mądrość jest nierozumiana, że kwestie dla nich oczywiste nie są oczywiste dla wszystkich tak samo.”*

Zdumiało mnie troszkę, że tak mądra Autorka nie zauważyła, że te wykształceni przede wszystkim nie zamierzały słuchać, ani dowiadywać się, czego nie wiedzą.

Tak dotarliśmy do słowa „naród”:

*„Jesteśmy my, NARÓD, wspólnotą, nie ma natomiast obywatela. Otóż to, i moim zdaniem całkiem świadomie wyeliminowanie przez PiS pojęcie obywatela, które przede wszystkim wiąże się z oświeceniem i wywodzi z rewolucji francuskiej. PiS często pokazuje, że jest to obca im tradycja. Oczywiście rewolucja francuska to skomplikowana sprawa, bo to i Robespierre, i znajdziemy tam szalejącą gilotynę, ale mówimy o pewnych ideałach i zasadzie zbudowania państwa. Obywatel, wszyscy obywatele, tworzą republikę, odpowiedzialność za wspólnotę. To jest myślenie, z którego został wyprowadzony cały współczesny porządek demokracji. PiS, (czyt. PREZES)*

*to neguje, wprowadza w to miejsce NARÓD rozumiany w sposób etniczny, populistyczny, nawet czasami rasowy, i ten naród jest pojęciem zupełnie innym niż zbiór obywateli."*

To prawda i takie pojmowanie narodu ma już długą tradycję, która wyłoniła się z innej tradycji. Żyjemy w kraju, w którym przez stulecia był naród szlachecki i bydło robocze; w którym obywatelami było około 10 procent mężczyzn, w którym powstania o wolność zniewolonej ojczyzny dziwnie łączyły się z buntem przeciw próbom narzucenia choćby minimalnych praw obywatelskich dla warstw niższych. To było jednak dawno, teraz żądamy, żeby chłop i pochodzący przecie z chłopów mieszkańiec bloków był obywatelem i żeby te buraki przestały nam robić wiochę. My, to znaczy kto? My, inteligenci, świadomi obywatele, wiedzący co słuszne i marzący o narodzie obywateli. Nie, nie wszyscy, część inteligencji wybiera naród, jako wspólnotę związaną więzami krwi, a nie jako wspólnotę obywatelską i tu wyłania się pytanie, co ta część pragnąca obywatelskiego narodu robi (poza czekaniem na cud nad Wisłą), iżby zmienić proporcje i inkorporować do owej obywatelskiej wspólnoty jak największą rzeszę mieszkańców kraju. Czy wystarczy zmiana języka i mówienie głośno i powoli?

Gdzieś w początkach tego stulecia (to mógł być rok 2003) działacz kierownictwa PSL zapytał mnie, czy mógłbym wysondować jakie są szanse na okrągły stół rolnicy – inteligencja (przez inteligencje rozumiał środowisko „Wyborczej”). Zapytałem go, czy to jego pomysł, czy rozmawiali o tym? Okazało się, że tak mu przyszło do głowy po jednym z moich artykułów. Powiedziałem, że taka inicjatywa musiałaby być dobrze przygotowana już na etapie wstępnym, że trzeba przedyskutować najpierw o czym chcieliby rozmawiać, co ustalić, jakie tematy poruszyć i kto by w tym, po stronie rolniczej, brał udział, a dopiero potem można sondować, czy jest partner. Zgodził się, powiedział, że pomyśli i na tym się skończyło. W tym samym czasie poleciłem pewnemu socjologowi artykuł o unijnej

polityce rolnej, odpowiedział obcesowo, że jego chłopcy nie interesują.

Zapytałem kiedyś młodego dziennikarza z Warszawy ilu w PSL jest profesorów (było wówczas 122). Spojrzał na mnie podejrzliwie i zapytał, co to ma za znacznie, przecież to i tak ćwoki, z którymi nie można rozmawiać.

Elżbieta Misiak-Bremer pisze: „To oburzające pojęcie *wykształciucha* nie wzięło się znikąd. Dorn dość przebiegle odczytał nastroje ludu prostego, ale wcale nie głupiego”.

Ludwik Dorn nazywany niegdyś „trzecim bliźniakiem”, a dziś zaciekle przeciwnik Kaczyńskiego, jest z wykształcenia socjologiem, a więc wykształciuchem, sam Kaczyński jest doktorem prawa, podobnie Andrzej Duda, Rafał Ziemkiewicz jest filologiem. Czy jest to zatem spór o rząd dusz między nami wykształciuchami, czy może między nami inteligentami?

Miałem niedawno zabawną przepychankę na Facebooku Piotra Ibrahima Kalwasa. Kalwas wrzucił [link](#) do artykułu o filozoficznym idolu Putina. Iwan Aleksandrowicz Iljin był związany z białą gwardią, popierał włoski faszyzm i niemiecki nazizm, po wojnie pisał o błędach i wyrażał nadzieję, że lepszą wersję tego wspaniałego systemu wypracują w Hiszpanii i Portugalii. (Moja sympatia do Sołżenicyna zagasła kiedy pojechał w odwiedziny do Hiszpanii generała Franco, w artykule dowodem na to, że Iljin jest idolem Putina było poświęcenie całych sześciu minut w filmie na piętnastolecie rządów Putina i opowieść o tym jak wiele trudu zadał sobie, aby sprowadzić jego prochy do Rosji.) We wprowadzeniu Kalwas pisał: „Tradycjonalizm, kryptofaszyzm, nacjonalizm i religijny irracjonalizm. Nienawiść i strach przed wolnością.

Społeczeństwo zamknięte – marzenie antydemokratów świata...” W odpowiedzi wpisałem:

*No i problem, bo lud to kupi, a inteligent będzie przemawiał do ludu niezrozumiałym językiem, ale za to z nutą wyższości i pogardy. I tak toczy się błędne koło tragiczne dla wszystkich. Pytanie, czy winić Putina (Kaczyńskiego, Orbana, o Erdoganie i Chomeinim nie wspominając) czy siebie. No siebie to chyba, nie, przecież jestem taki śliczny i idylliczny.*

Ściągnąłem na siebie gromy. Kalwas napisał, że jakoś nie czuje się winny, że nie wie jak odróżnić lud od buraka i chama i opisując koszmarną bandę Polaków na maltańskiej plaży stwierdził: *To obce mi plemię chamów i debili. Nie pochylam się nad nimi, nie "próbuję zrozumieć", nie wykonuję już żadnych paternalistycznych wyciągnięć ręki inteligentika do "człeka prostego"* □

Pomyślałem, że ze wszech miar słusznie, bo przecie nic by z tego nie wyszło, ani (prawdopodobnie) nie mogłoby wyjść. Odpowiedziałem, że tu się różnimy, bo inteligentem to ja chciałem być gdzieś do dwudziestego roku życia, a potem miałem ambicję, żeby zostać fachowcem. (Skłamałem, bo uświadomiłem sobie później wbijaną od dziecka w głowę ojcowską definicję inteligenta, iż jest to człowiek, który myśli, że myśli więcej niż myśli.) Lenin był inteligentem, Putin jest inteligentem (samo pojęcie inteligencji jako warstwy społecznej zapożyczyliśmy od Rosjan). Czy konieczne jest poczucie winy? Może nie winy, ale świadomość, gdzie ustawicznie strzelamy sobie w stopę, bo przecież wcale nie jest nam z tym dobrze, że mieszkamy w swoich krajach jak na emigracji.

Czasami uciekamy od tego suwerena za dziesiąte morze, czasami udajemy się na wewnętrzną emigrację w naszym inteligentkim

getcie. Najbardziej oburzyłem tym przypisaniem do inteligencji Lenina i Putina, wywołując gwałtowny protest, że „Lenin i Putin to też inteligenci...? Na tej samej zasadzie Picasso i Hitler to malarze”.

Próbowałem wyjaśniać, że historia inteligencji jako warstwy społecznej w Europie Wschodniej jest dość dobrze zbadana i opisana, że tocząca się na ten temat od grubo ponad stu lat dyskusja jest fascynująca, że kiedy flirtujący z nacjonalizmem inteligent prawi o wykształciuchach, nie przestaje być klasycznym dziecięciem tej warstwy i wykształciuchem właśnie.

Ta warstwa zaczęła się wyłaniać tuż przed rewolucją przemysłową w czasach mniej znanej rewolucji agrarnej, która nie tylko wyrzucała do miast masy spauperyzowanych i pozbawionych jakichkolwiek kwalifikacji chłopów, ale i masy spaupedryzowanej, ale mającej jakieś wykształcenie szlachty. Ta szlachta w Rosji czy w Polsce tym różniła się od zubożałego ziemiaństwa w Anglii czy w Szwecji, że za żadne skarby nie chciała się parać ani handlem ani rzemiosłem, że szukając dla siebie miejsca w tym nowym świecie postanowiła zostać arystokracją ducha i awangardą narodu.

Uczeń Floriana Znanieckiego, Józef Chałasiński przedstawił bodaj najbardziej wnikliwą analizę tej warstwy społecznej w książce *Społeczna genealogia inteligencji polskiej*. Od zarania istotą tej warstwy było poczucie wyższości właśnie, pogardliwy stosunek do nauki, romantyzm, pogarda dla wszelkiej fachowości.

*„Szlachecko-inteligenckie getto – pisał – cierpiało na poczucie upośledzenia, czuło swoją degradację, i głodne było wielkości. Pozytywistyczne hasła „pracy organicznej” nie mogły tego głodu zaspokoić. Szlachecko-inteligenckie środowisko ekonomicznych pariasów było arystokracją ducha i miało arystokratyczne aspiracje. Pragnęło arystokratycznej*

*wizji, wielkiej i wzniosłej – ale nie wymagającej poświęcenia i ofiary z własnej pozycji społecznej i własnych praw do wielkości.”*

Chałasiński pisze, że rozwijne wśród "ludzi bezdomnych", antyszlacheckie i ludowo-demokratyczne idee nie zmieniały i nie mogły niczego zmieniać. Inteligencja na rozwój masowej oświaty, na rozwój intelektualnego potencjału narodu, na awans społeczny wykształciuchów z ludu patrzy niechętnie, bo to zagraża jej pozycji "prawdziwych Europejczyków". W drugim wydaniu cytuje „Tygodnik Powszechny” lamentujący iż „nie wolno kosztem wartości inteligencji powiększać jej ilości”. Ten lęk przed rozmyciem się w tłumie masowo kształconych fachowców jest zdaniem Chałasińskiego charakterystyczny dla ludzi chorych na punkcie swojej wielkości. Wejście do getta jest strzeżone, tu nie kocha się wybitnych indywidualności. „Jest to solidarność ludzi jałowych i małych”, tu nie zdobywa się sławy tylko dobrą reputacją. „Ludzi sławnych getto chętnie zaprasza do siebie wtedy, kiedy sławę zdobyli za granicą. Takie sławy getto chętnie nobilituje i uznaje za swoje wielkości.”

Ilekcroć czytam pieśni pochwalne o inteligencji, zamiast definicji tego, o czym mowa, nieodmiennie słyszę wiązkę nazwisk ludzi, którzy rzekomo są ich wzorami osobowymi, przy równoczesnej zabawnej zgoła ucieczce od wszystkiego, co kłopotliwe. Wystarczy jednak chwila namysłu, żeby zauważyć, że ci których prezentuje się jako przykłady grupowego etosu, to jednostki osamotnione i odrzucane przez ową warstwę inteligencką.

Dlaczego nie możemy się wybić na demokrację? Czasem obserwuję dyskusje wśród hinduskich ateistów, gdzie jak diabeł z pudełka ciągle wyskakuje problem kast i braminów, problem lekceważenia potencjału intelektualnego narodu w imię troski o zachowanie



tradycji i kultury. Powtarzają się zdumiewające analogie, a więc opowieści, że ktoś miał kolegów braminów na studiach i że to byli fajni ludzie, kto inny, że przecież literatura, sztuka Indii to głównie produkt braminów, na takie argumenty pada pytanie, ilu znasz braminów, którzy zrezygnowali ze spadku i odcięli się od swojej kasty, a jeszcze inny proponuje eksperyment z próbą wynajęcia mieszkania w dzielnicy braminów i zapewnia, że po trzech próbach będzie efekt szybkiej ucieczki w obawie przed wpadnięciem w depresję. W poważnych analizach pojawiają się twierdzenia, że w chwili obecnej system kastowy jest w Indiach największym i najgroźniejszym balastem na drodze do demokracji i szybkiego rozwoju.

W naszych sporach o kształt Polski od czasu do czasu pojawia się hasło „wymiany elit”. Przekładając to hasło na zwykły język oznacza ono zamiar stworzenia sobie nowej inteligencji, nowej arystokracji ducha zgodnego z nową władzą. To robili komuniści, to robi Kaczyński. Porzucenie idei elit w postaci warstwy inteligenckiej i zastąpienie owych „elit” kultem fachowości (który głosił Tadeusz Kotarbiński), kultem dobrej roboty, mogłoby wreszcie otworzyć drogę również do społeczeństwa obywatelskiego. Kompetentny mechanik, kompetentny wyspecjalizowany dziennikarz, kompetentny lekarz, kompetentny konstytucjonalista to dużo więcej niż kompetentny inteligent. Istnieje obawa, że jedyna rzecz, którą inteligencja wpoiła ludowi, to pogarda dla fachowości. Dumna ignorancja pozwala bredzić o wszystkim bez troski o fakty i bez niepokoju, że nasza ekspertyza jest zawsze ograniczona i niepewna.

Chwilowo walczymy z PiSem i szukamy strategii na szybki sukces. Ja takiej strategii nie mam. Wiem natomiast, że jak długo nie będziemy cenili fachowości i kultury, niezależnie od przynależności do tej czy innej kasty, jesteśmy na straconej pozycji. Czekanie na obywatela Polaka jest chwilowo czekaniem

na Godota. Suweren maszeruje z transparentem „Śmierć wrogom ojczyzny”, a my zaczynamy się domyślać, że może mieć nas, inteligentów na myśli. Odzyskanie (a raczej pozyskanie) wsi, małego miasta, mieszkańców blokowisk, wymaga uczenia się trudnej sztuki słuchania i partnerstwa. Mowienie (nawet najwyraźniejsze), co mają myśleć, prawdopodobnie przyniesie ograniczone rezultaty.

P.S. W roku 1992 Wydawnictwo Naukowe PWN wydało moją książkę o historii reform w rolnictwie w Europie Zachodniej, Ameryce, Japonii i Korei Południowej, pisałem tam również o znaczeniu tych reform dla rozwoju gospodarczego i społecznego. PSL rozdało ją swoim posłom. Mówiono mi później, że Leszek Balcerowicz powiedział, że Koraszewski buntuje chłopów, a ówczesny sekretarz generalny Unii Wolności, Bronisław Komorowski, że prawdopodobnie przecieram sobie drogę do synekury w PSL. Komorowski przeskoczył do PO i załapał się na fotel prezydencki, a ja po przejściu na emeryturę wróciłem do Polski i osiadłem w małym miasteczku, gdzie zająłem się między innymi przygotowaniem gimnazjalnej młodzieży do studiów w wielkich miastach i na spotkanie z inteligencją.

Artykuł ukazał się pierwotnie [na portalu Listy z Naszego Sadu](#)